

Jestem bardzo plastyczny; moje emocje ugniatają się z tylu barw w jeden szary zlepek do niczego nie podobny, a wpływ na to mam tak niezadowolający, że lepi mnie wszystko niemal, a niemal wcale ja. I tak piosenka jedna albo kilka liści, jedno proste obliczenie, artykuł jeden, zdanie, bo czasem nawet nie książka, znicz. Tak jak wczoraj. Tak jak wczoraj.

Wsiadłem z nią do tramwaju. Był wieczór, był pierwszy listopada, zimno było. Patrzyłem na nią tak nieudolnie chowając co mi się właśnie w głowie lepi. A ona to tak pięknie ignorowała, żeby nie wprawiać mnie w zakłopotanie. A może nie zauważyła, bo może ja wcale nic, bo może ja nic, może ja wcale nie ja. Plac Bohaterów Getta mijamy w hałasie siedząc. Patrzymy na krzesła. Te puste krzesła, co znaczą więcej i boleśniej niż „nie ma cię”. Bo one są puste i proste i nie siedzi na nich nikt, a jeśli już to tylko ci nieżywi. Tam mój brat może siedzieć, mój kilkumiesięczny brat, mój martwy brat, nieznan mi w ogóle. I on tam pewnie siedzi, a ja nawet go nie widzę, bo tramwaj jedzie szybko i ja pewnie w złą stronę patrzę i mijam go, tu, w obcym mieście i w tym roku mu nawet świeczki nie zapalę, nie powiem nic, choć mu to nigdy różnicy nie robi i mnie też nie powinno, bo ja nie wierzę, w nic nie wierzę, ale potrzebuję z nim kilka słów zamienić, wyobrazić go sobie, jak przede mną studia kończy, jak żeni się, jak czyni mnie wujkiem pewnych wakacji na Mazurach...

Patrzę na nią, a oczy szczypać zaczyna ten pierwszy listopada i znicze rozdzierają mnie na Cmentarzu Rakowickim. Wsiadamy. Chodzimy alejkami. Robi zdjęcia, ja szukam brata, nie na tym cmentarzu, ale to nie ma znaczenia. Więc mówię mu z kim idę, po co te zdjęcia, po co dłonie nam się splatają i rozplatają, by spleść się znowu. Czemu mówimy tak mało i dlaczego mnie to cieszy, dlaczego nie boję się o mój spokój tak bardzo. Pocałunek mu opowiadałam i ciepło jej ud, jej brzucha, jak na mnie stanęła, jak uderzyłem ją w głowę niechcący, wszystko mu mówię, co dla mnie ważne teraz, a on nie słucha wcale, ale lubię myśleć, że słucha, bo mnie nikt nie słucha tak naprawdę, więc mój martwy brat musi, bo w końcu ktoś musi. I pewien jestem, że zgnił i że go już nigdzie nie ma na dobrą sprawę, a tam gdzie coś z niego zostało jeszcze, tam ja teraz być nie mogę, ale mówię i mówię. Patrzę na worki na śmieci białe takie i wygniecione i opowiadałam mu, że to suknie ślubne tutaj na cmentarzu ot tak rzucone, żeby straszyć, żeby kobiety bały się umierać nie smakując życia, że czekanie to strach, a śmierć to strach największy, więc nie czekać na nic, zaskakiwać się życiem i nie odmawiać, chyba że głupstwu, ale nigdy życiu. A umierać to tylko z zaskoczeniem na twarzy, takim „o, to już? w życiu bym nie pomyślał” i z niczym już więcej nie umierać.

I kiedy patrzyłem w jej oczy chciałem powiedzieć bratu o wszystkim, co go minęło, o tych uniesieniach, których nie przeżył, tych piersi, których nie dotknął, tych sromów, których nie smakował, tych ust, które nie poiły go nektarem. I ja kochałem się dla niego i żyłem dla niego, a nawet za niego i czułem to, czego on nie poczuł, bo to było warte błędów, bo on był wart niedokończonych doświadczeń. Bo sześćdziesiąt lat to tylko dwadzieścia jeden tysięcy dziewięćset dni, to tylko tyle i nawet nie wiem czy tyle mnie czeka, czy mniej, czy więcej, a nawet jak więcej to pewnie niewiele, a kolejny mija mi tu, na tym cmentarzu, a ile zmarnowałem leżąc, myśląc, jedząc tylko i sikając i one nie wrócą, te dni zmarnowane, bo kiedy trzeba było to nie myślałem w biegu albo nie nie myślałem w ogóle, tylko głębiej drażyłem granit niepewności, myśli mdłych niekonkludowalnych wnioskiem jakimkolwiek, tak że nic więcej powiedzieć nie mogę niż to, że ona tu stoi i czasem mnie dotknie, a czasem nie i nie zawsze chce się przytulić, a ja nie wiem dlaczego i drażę jeszcze raz i potem i tak się przytulam i patrzę na nią i wacham jej włosy, a kiedyś i tak wachać jej mógł nie będę, a może i chciał nie będę, ale co się nazastanawiam nad tym, to już oplakuję ten zmarnowany czas. A on go nie miał wcale. Powinien mnie zabić za to marnotrawstwo, na tej pępowninie powiesić, co jego udusiła.

I jeszcze piosenka ta, której słucham teraz nawet, a przecież nic tu nie gra i słuchawek żadnych nie ma i odtwarzaczy, bo teraz ja tylko słyszę i nikt inny nie słyszy tak naprawdę, bo słyszeć prawdziwie to w

ciszy słyszeć, więc 'nigdy nie będzie takiego lata...' I znowu drążę, a on nie żyje, a ja żyję chyba, choć tętna swego nie sprawdzałem już dawno, ale serce mi biło jeszcze chwilę temu, w kuchni, na pewno to było moje, mimo że drugie było tuż obok, ale ja słyszałem oba i moje takie zmęczone papierosami i jej świeże takie i czerwienśsze pewnie i żwawsze kolibrze, nie moje końskie, co się śłania po dniu całym ciągnięcia wozu z węglem, nie mojego brata drobne i uderzające, dawno przebrzmiało.

I uśmiecham się tak smutno, że nikt by już tego uśmiechem nie nazwał, czy by mi się już dawno zmgliły, gdyby nie ziąb, który wszystko wyostrza, twarze zwłaszcza, ale rozmywa jej zdjęcia dygotaniem zziębniętych dłoni. Widzę jak pięknie się denerwuje, tak jakby się jednak wcale nie złościła, tak samo jak ja się uśmiecham, nie uśmiechając się wcale. Ręce splatają się znowu, grzeję je, bo cudem mam ciepło i myślę, że to przeznaczenie, że to jak klucz do zamka, moje w tej chwili rąk ciepło i jej rąk zziębnięcie, że to otworzy drzwi, a za nimi przestwór uczuć tych samych, co wszyscy czują, ale innych, bo naszych i chociaż ona to czuła do kogoś i ja do kogoś czułem i rozumiemy co to jest i co to było kiedyś, to to jednak jest nowe, niezbadane jeszcze, więc można się czegoś nowego spodziewać, choć to wciąż będzie to samo. Bo to się nigdy niczym nie różni, to zawsze jest trzepotanie, rozbieg myśli, który pociąga ciało za sobą, zrywa je i rzuca gdzieś daleko, tam, gdzie wszyscy są punktami odległymi i tylko ten jeden człowiek jest wszędzie, gdziekolwiek się odwrócisz, aż w końcu i on maleje i rozmawiasz z nim, ale już nie wiesz o czym, bo mówisz o rzeczach prostych i codziennych, drobnostkach, że szef cię wkurzył, że wykładowca powiedział coś śmiesznego, że kończy się papier toaletowy, że masz ochotę na sok porzeczkowy i człowieka to nie obchodzi i ty też masz gdzieś to, co ci się chce i co ci się przydarzyło, ale liczysz, że temu kolejnemu dniu ten człowiek nada sens, że zapyta, że skomentuje, że się uśmiechniesz, ale on jest tak samo zmęczony i w końcu już nie umiecie mówić, unosicie głos tylko do krzyku, każdy wasz śmiech jest śmiechem diabelskim i jest tylko wtedy, gdy to drugie się potknie, więc chodźcie po tłuczonym szkle rozmawiając na kanapie, niby jeszcze w objęciach, ale to już tylko to ciało rzucone myślami w przód leci wciąż tą siłą bezwładności i to już nie jest to. A szkło pod stopami zamienia się w Tatry, Alpy, Himalaje i nadchodzi czas, by się pożegnać, pozabierać swoje rzeczy, szczoteczki do zębów, koszulki, płyty CD, filmy i żegnacie się jak najbardziej nieładnie i bezwładność każe wam jeszcze się zbliżyć kilka razy, bo to kiedyś był twój komfort w nim i jego komfort w tobie, ale to nigdy nie wraca, więc płaczecie w swoich kątach, gdy nikt was nie widzi, a piosenki Cohena mają nagle więcej sensu, palisz więcej, częściej pijesz i nagle znów ktoś otacza cię wizerunkiem jak ze świętego obrazu i zaczynasz podróż od nowa, dokładnie taką samą, ale tym razem wierzysz, że już się tak ona nie skończy, ale tak się musi skończyć, bo innego końca nie ma, więc modlisz się, by autobus zmiotł cię na pasach, zanim ona w tobie zdąży zmaleć i droga zaszklą się potłuczonymi butelkami.

Powoli zbieramy się do wyjścia. Po drodze kupuję krowki, trochę sezamowych, trochę orzechowych i kilka z wiórkami kokosowymi. I jak to bardzo przyjemne w jakiś taki sposób obrazoburczy, że ktoś sprzedaje krowki i kielbaski i prażone orzechy po śmiesznie dużych cenach, teraz o dwudziestej z minutami na cmentarzu. Uśmiech robi się szerszy, szybki spacer na przystanek napawa jakimś spokojem, bo przecież codziennie się spieszę i dzisiaj też, czyli to jednak normalny dzień, tylko ktoś kiedyś powiedział, że akurat teraz jest święto ludzi nieżyjących i z jakiegoś tam powodu częściej im się należy i czuję, że dzisiaj to ja się tym przejąłem bardziej niż niejeden dobry chrześcijanin. A mój dobry kolega zrobił zmarłym dowcip, bo właśnie dziś się urodził. Gdyby na porodówce byli księża, pewnie kazaliby dotrzymać w łonie do dnia następnego albo otworzyć brzuch jego matki dzień wcześniej.

Wracamy tramwajem i jestem trochę pusty, nigdy nie widziałem tak wielu starych ludzi w tramwaju jak dziś i też czuję się stary i pewnie właśnie przez to wszystko we mnie działa mniej.

Potem myślę sobie, że nawet nie zwróciłem uwagi na Plac Bohaterów Getta.

I teraz, gdy już wróciliśmy wciąż czuję palenie, może trochę mnie swędzą ramiona, ale tak do lekkiego bólu, bo chcą się opleść wokół ciała, które by pachniało roztopionym masłem, tak głęboko, bo z wierzchu to kosmetyki i ta cała damska toaleta, ale w głębi to jest masło, a swędzenie jest coraz dokuczliwsze; myślę o drapaniu, wiem jednak, że to nie pomaga, wręcz przeciwnie. Zatem próbuję, moje motywy nie mogą być oczywistsze, w każdym geście i słowie, spojrzeniu zdradzam się jej z planów i miłości i tych potrzeb, które ciężko nazwać głośno, bo pewne rzeczy brzmią tylko w głowie dobrze albo na papierze i tutaj właśnie nic wzrasta do rangi najwyższej i prawdziwe tragedie mu salutują, tylko tu nic coś znaczy, błahostki zabijają wolę i dobre samopoczucie topią w dymie dwudziestu fajek na godzinę, bo przez jedno nie, jeden ruch ręką odpędzający i światy przestają istnieć, raki trzustki żarty, brak nóg, rąk, wzroku nic, bo brak jej przerasta wszystkich ból znany i nieznany, a ona przecież nie jest żadną częścią mnie, jej tu nawet kilka dni temu w ogóle nie było, więc co to tak boli, gdy gest, gdy nie?

Pustka starcza tramwajowa zniknęła, myślałem, że ciepło mieszkania będzie to spowolnienie utrzymywało, że się rozleniwie w gorącym, a tu nie, a tu pęd znowu i znowu zastanawiam się nad papierem, który warto by zapisać, bo jestem typem schizoidalnym, jak usłyszałem na wykładzie z psychiatrii i muszę sublimować, żeby nie oszaleć, ale jakoś teraz nie potrafię, więc nie spisuję nigdzie ani cmentarza, ani tego teraz, po prostu patrzę na nią, jak wstawia wodę na herbatę, a ja wyciągam krówki i planuję kolejny styk dłoni, wymyślam pretekst i udaje mi się i ta sztuczność pretekstu jest jakoś dziwnie naturalna, jakby naturalnym było, że każdy taki zakochany jest jak cholera sztuczny i zawsze przełamuje granicę dotyku łaskotkami, tak zawsze po raz pierwszy dotykamy kobiet, my bardziej nieśmiali, zawsze próbujemy łaskotać, tak jakoś szczeniacko, chociaż już stare z nas byki, bo mamy dowody osobiste, ale to właśnie jest prawdziwe, takie łaskotanie nie na miejscu.

Fajans w palce parzy, herbata mi naciągnęła zbyt mocno i nie jestem w stanie jej pić, bo rzygać się chce, ogólnie nic nie wychodzi, krówki pozamarzały, wyciumkam je jutro, Jem bułkę z serem, jem trochę za głośno, ciamie, żeby spojrzeć z politowaniem i żebym mógł się wtedy do niej uśmiechnąć, a ona odśmiechnęłaby się do mnie i to mi się udaje, co mnie cieszy, bo w koncu coś, choć nie mogę być pewny, że to na pewno dobrze, bo może tylko głupca z siebie robię i to, z czego dumny jestem, mój tak pielęgnowany dowcip to w jej oczach tylko głupkowatość, ale wolę myśleć, że to jednak nabiera w niej wartości niemal małżeńskich, że to facet, który nie da się jej nudzić po ślubie, który nawet za trzydzieści lat sprawi, że się zadławi drożdżówką ze śmiechu. Bo to chyba najważniejsze, to chyba sprawia, że dzieci się rodzą - śmiech, bo co jeszcze? Pieniądze, powaga, auto, stabilizacja, bezpieczeństwo, uroda, co? Śmiech tylko, tylko śmiech. Z głupstwa takiego, takiego nic, z ziarna piasku rośnie perła, więc się śmieję i rozśmieszam, żeby się nie kłaść samemu do łóżka, żeby dać wyobraźni, dłoniom odpocząć, żeby być komuś użytecznym i komfortowym, być takim ulubionym fotelem, miejscem wygodnym, bo potrzebuję, by ktoś mnie potrzebował, żeby mnie kochał, choć mówiłby tylko: „szkoda, że go tu nie ma, tak mnie zawsze rozbawiał”, bo to takie ładne wyznanie, niby nieznaczące, ale to nieprawda. Bo może jej się pomyli, bo im się często myli, dowcip z inteligencją (jak brytyjscy naukowcy wybadali) i wtedy może przez moment będę trochę lepszy, a potem to już będzie za późno dla niej, by widzieć dokładnie i dokładnie słyszeć, a kiedy odzyska zmysły, to może ja już rzeczywiście będę inteligentny i wszystko będzie dobrze i gdzieś głęboko trochę mi wstyd, że kłamię tak jakoś głęboko wewnątrz, gdzie o tym kłamstwie sam do końca nic nie wiem, bo mało wiem w ogóle o sobie i na dobrą sprawę nie wiem kto i jak ja jestem, a przecież ciężko jest kłamać, gdy się nie zna prawdy.

Tylko czy ja na pewno kłamię? Może ja jestem bohater Sartre'a i łżę, choć mówię prawdę, może ja jestem jednooki wśród ślepców, ale nie widzę nic wyjątkowego? Więc chyba jestem ślepy, albo wszyscy są przeciętni i gdyby jednak było na co patrzeć, to ja bym to dostrzegł? A może ja jestem wariat, co czyni mnie również geniuszem? Tylko ja nie zmieniam nic jak properny szaleniec, ja tylko wszystkim rzygam, mam dość, chyba tylko oprócz niej, ale co to zmienia, skoro wiem, że ona będzie świętą tylko pod warunkiem, że wpadnę pod autobus w samą porę? A czy ta wiedza o niej i przyszłości nieziszczonej, to

nie jest epistema cyklopa wśród studni oczodołów pustych? Czy ja się aby nie pętłę? I czemu wciąż do niej się sprowadza wszystko, co pomyślę? Mania to? Czy miłość? A może miłość też mania? Na pewno. A może ja jestem wariat i to, co nazywam wygodą ducha to w sumie jest moją chorobą, bo co ja mogę zrobić lub powiedzieć szczerze wesoło, bez tych kalkulacji maritalnych? Noszę dziwne czapki, uśmiecham się zbyt często, lubię dotykać jej ucha, pępka i stóp, mówię rzeczy, które mało kto rozumie, ale czasem ktoś rozumie, od razu lub po eksplanacji, ale zdarza się, więc może ja nie świr, ja tylko lingwistyczny zapultacz, może za głupi dla mnie jest język polski albo ja za głupi dla języka? A przecież czytam cztery książki na miesiąc i przeglądam bieżącą prasę - czy to nie czyni mnie poinformowanym? Czym mnie to czyni? Może to nic nie zmienia? Więc za co te pocałunki, gesty sympatii, jej piersi, jak dorodny owoc dają mi satysfakcję z samego ich muśnięcia językiem. (Czy ja się w moich predyspozycjach intelektualnych dopatruję przyczyn wieczoru z moją ręką w jej staniku?) A jeżeli to zmienia cokolwiek? To dlaczego najbliższy przyjaciel mówi mi, że jestem debil i nie chce mnie widzieć? Nie wiem.

*

Tyle razy nocą dopada mnie strach, że wszystko mi się śniło do tej pory, że nic z życia nie jest prawdą, że najbliżsi mówią mi kłamstwa, bo w końcu poznali prawdę. A czasem myślę, że krzywdzę tak wielu ludzi, zakochuję się bez pamięci, by odkochać się po chwili, a braciom w niedoli mówię słowa, które są tak bolesne, że powinni mi zadać poważny ból lub nawet ból ostateczny (który tak naprawdę nie boli, to tylko chwila przed nim boli naprawdę, bo to jest świadomość, że teraz już koniec). I dochodzę do wniosku, że właśnie to jest prawda, te bóle osób najbliższych, które zadają z gracją piruetu, tnąc przez rozpalone policzki, piekące uszy do serca, to „spieprzaj”, które mówi ona, gdy tylko próbuję podejść, to „spierdalaj”, które mówi on, gdy komentuję kolejną głupotę, jaką czyni samemu sobie, szarpię go słowami ze smoły i szkła i nawet cieszy mnie to – humor czarny, gorzki, słony nawet i kwaśny to inteligencja w oczach naiwnych (w tym moich – chwała kulawemu lekarzowi z serialu) – jak brytyjscy naukowcy wybadali. To właśnie jest prawda, a ja sam sobie kłamię i za to, że kłamię się karzą mnie oni, bliscy mi, których skrzywdzić nie chcę, ale krzywdzę, albo mówiąc, gdy mówić nie trzeba, albo prosząc o bliskość, którą kiedyś mi darowali, a teraz się jej wstydzą. Ale czasem ja jestem źródłem światła najbielszego, a oni goryczą i wtedy z każdym ich słowem i gestem niezasłużenie karcącym ja rosnę, a wraz ze mną kwiaty tam, gdzie mnie zaboli i konwaliowo pachną moje pólkule i płaty i jestem wówczas krynicą i dobrem wcielonym. Ale i to mi mija.

I już nawet nie jestem pewien o czym to ja miałem, coś ważnego umknęło mi gdzieś i błąka się na granicy tego, co już na pewno przypomnieć się nie da (chyba że za jakiś czas i przypadkiem) i tego, co nadludzkim wysiłkiem przypomnieć sobie jeszcze można, ale już tak ten wysiłek wykańcza, że pomyśleć coś więcej nad to ważne się nie da. Więc zamykam uszy, niepatrzę oczami, przynajmniej na nic widzialnego, jej ruchy przestają być dostrzegalne, dzieją się niezauważalnie, a ja szukam i szukam, mózg mi się poci i nagle wiem - to było to, że ona chyba nie jest pewna, znaczy waha się i może stąd to całe zamieszanie, te wszystkie informacje sprzeczne i sygnały zagłuszane niezdecydowaniem. Bo ja wiem, czego chcę, po co ręce wędrują wzdłuż w rejony wzrokiem na co dzień niedostępne, dlaczego wyszukuję jej ust pomiędzy włosami potarganymi ze mną szarpaniną i po co chciałem zbliżyć się biodrem do jej pleców i teraz czuję, że wiem też dlaczego te jej włosy się potargały w tej szarpaninie - bo ona nie wie i to jest najważniejszy wniosek na dziś, który nic mi nie daje, bo jak postąpić nie mam pojęcia. Nadal mogę tylko kłamać dowcipem i liczyć, że zmieni się coś, staram się pokazać, że mi nie zależy, bo tak robią zawodowcy - tak kiedyś czytałem - wszystkie kobiety wokół traktują jak bóstwa, a tą wybraną ze stada ignorują, aż sama zawalczy o to, by zainteresować mężczyznę, ale jaj mi brak i w dodatku tak trudno mi nie być przy niej, nie pokazywać jej tego, co mi się lepi, bo ja po prostu muszę mieć pewność,

że ona wie, co ulepiła we mnie, jak wielkie to jest, jak bardzo mi to ciąży, ściągając głowę do ziemi samej, tak, że teraz mam ją w chmurach, tyle że po drugiej stronie kuli ziemskiej, choćby to pokazywanie jej tego wszystkiego mogłoby skończyć wszystko i wszystko odebrać, co być by mogło, gdybym jednak twardszy był, facetszy, mężciejszy, a ja zostałbym tylko z tym jej wylepcem wewnątrz, nie wiedząc w ogóle, co zrobić ze sobą, gdzie oczy podziać, w co ręce włożyć (może w beton, może w czyjąś twarz, może zamknąć je na butelce).

Oczy wypadły mi gdzieś w głąb, z trudem rozwieram powieki, oczodoły pełne mgły zwiastują sen zachwilowy. Wstaję od stołu, kubka nie myję po herbacie, belczę coś jakby chyba dobranoc i wchodzę do pokoju, zrzucam spodnie, sweter, skarpety, kładę się i już myślę, że uda mi się zasnąć, gdy nagle zasypiam.

*

Ciężkogłowie, ciężkopowiece, ale walczę, ręką szukam okularów drugą trę oko prawe. Gdzie ja, co ja. Wstaję powoli, najpierw siadam, lokalizuję paczkę fajek i zapalniczkę, wyciągam ze spodni leżących obok. Wstaję do pudełka cameli, ziewam przeciągle, wyciągam papierosa, otwieram balkon, skóra boli listopadowo. Łydki mnie szczypią, wewnętrzne części uda też, wiatr zawiewa pod moje gatki do spania, odpalam fajkę i patrzę w dal przed siebie, tupię nogą, ręce trzymają wyimaginowaną gitarę, bez żadnego ładu chwytam powietrze, więzę je dłonią w nieistniejących akordach, jedynie prawą ręką szarpie pustkę do właściwego rytmu melodii 'Until It Sleeps', utwór gram od refrenu. Nie puszczając nieistniejącego gryfu, zwijam prawą rękę, w której mam fajkę i którą kostkuję, w pięść i wygrażam nią pustemu podwórku, gdzie powinien tłum być. Wypaloną fajkę rzucam w ten tłum i gaśnie ona na trawie pod jego stopami. Sięgam po kolejną, choć ledwo dech łapię już i czekam na kogoś, kto powie: „nie pal tyle”, ale nikt nie przychodzi, więc znowu się zaciągam i patrzę jeszcze dalej, muzyka wciąż gdzieś tam gra, ja wydzieram się szeptem i wrzask nagle przerywa kaszel taki trochę suchy, a trochę mokry, gdy poranna flegma odrywa się od płuc. Charczę, łykam, bo nie umiem ładnie spluwać, zawsze mi potem z brody coś wisi, idę z fajką do kibla wysmarkać się w papier i znowu wychodzę na balkon. Mógłbym rzucić dla kogoś, choć wiem, że to głupie, bo powtarzam to od roku, a nikt się tak naprawdę do mnie z tą prośbą nie zwrócił na serio, jakby nikomu nie zależało, na tym bym raka nie dostał, tak i palę wciąż i nie przekonuje mnie nawet to, że skoro nie mam nikogo na tyle cennego, by dla niego przestać, to powinienem dla siebie przestać, bo nie mam teraz nikogo cenniejszego ode mnie. Myję się, ubieram, jem. Potem pakuję się i wychodzę.

W tramwaju siedzę, ciasno jest, bo ranek, ktoś brudny i taki nieogolony, krzyczy śmierzając, że kobiety to kurwy do kupienia za pieniądze i motorniczy to chuj, ten na te słowa wychodzi i wyprasza krzykacza.

Wysiadam, idę, palę znowu, rozglądam się i nikogo nie widzę, znaczy widzę, ale jakoś nie dostrzegam – wszystkie kobiety w dzinsach w wysokie buty lub krótkie kozaczki wepchniętych, w paltach czarnych, wiśniowych, popielatych, w wełnianych czapach obwisłych na drutach dzierganych, z torbą wielką dyndającą na łokciu. Faceci jeszcze tragiczniej, tak że wszystkich da się do worka danego wrzucić, zawrzeć w zbiorze dresiarzy, studentów, absolwentów młodych na pierwszej posadzie. Wszyscy jebani indywidualiści ubierają się tak samo – ich też wyłowisz z tłumu – poetów, muzyków, fotografów, malarzy. I co to są za ludzie, co oni są warci? Jacy ludzie są warci coś i co to znaczy warci? I warci niby czego? Czy ci, których znam są warci tego czegoś, co nawet nie wiem co by to miało być? I teraz tak: mamy zbiór A, w którym się cała ludzkość zawiera, zbiór B – ludzie, których widziałem w moim życiu, których minąłem na chodniku, dojrzałem zza szyby tramwajowej, każdy, kto znalazł się w zasięgu wzroku, czyli zmysłu, który omiata najczęściej dookolnej przestrzeni. Potem C – z którymi choć zdanie jedno wymieniłem; D – z którymi rozmawiałem przynajmniej dwa razy, E – koledzy przynajmniej raz na miesiąc widziani; F – współstudenci, współpracownicy, sąsiedzi, G – przyjaciele, H – kobiety, z którymi

żyłem. I jaki to przypadek sprawił, że akurat tacy, a nie inni ludzie są w tych zbiorach. A gdyby coś w moim życiu inaczej poszło, to co bym stracił, co zyskałbym. A jeśli ja na złych ludzi trafiam, w sensie – nieodpowiednich. Może to wszystko erzac przyjaźni, tombaki miłosne, substytuty mierne osób wartych zaufania, a ktoś wspinały śmignął mi w zbiorze B lub C i nie powędrował dalej w tej hierarchii. Może losować palcem punkt na mapie i tam zamieszkiwać i szukać, może ludzi zaczepiać na ulicy, w księgarniach, na przystanku i w jadłodajniach i szukać, szukać, szukać, bo kto wie czy ci wszyscy ludzie z G i H to mój błąd wielki, który trzeba naprawić.

Wysiadam, palę znowu, minę mam chmurną i kołnierz postawiony wysoko, ciskam się wśród ludzi, przyspieszam, zwalniam kroku, bryluję, ślizgam się i stawiam sobie za cel, żeby wszystkich ominąć, wyprzedzić i nie otrzeć się o żadnego – ja teraz jestem szpieg, morderca, asasyn, cień i żałuję, że nie mam noża, bo gdybym miał, wbiłbym go w kogoś tu obok i zwał, zanim by upadł, właśnie tak pewnie i cicho, zimno bym uciekł, powoli, a krew by sączyła się po ubraniu i zanim by skapnęła, zanim by upadł ten ktoś, komu przeciąłem na przykład tętnicę udową, ja już bym był tam, gdzie właśnie siedłem, w szpitalu, podpinałbym ludzi do prądu, podtapiał, przypalał i zmrażał. I właśnie wchodzę, idę do szatni dla pracowników, przebieram się i znowu palę. Wychodzę z szatni, siadam tępo na stanowisku, cześć mówię ludziom ode mnie z roku.

W kolanach widzę twarze małych dzieci, płodów niedorozwiniętych ze zrośniętymi powiekami, bez przegrody nosowej, czasem żuchwy mają wydłużone, wyglądają jak kosmici w lateksowej rękawiczce na głowie. Patrzę jak zahipnotyzowany, manipuluję węzem od butli z ciekłym azotem, niemal nie gadam ze starymi babami, które co chwila klęczą na tych gębach w kościele wybijając im zęby, wgniatając szczęki w głąb. I tak manipuluję, jakbym zwiewał spadnięte liście, by odsłonić ukrytą pod nimi płytę chodnikową, która nie wiedzieć dlaczego, miałaby być odsłonięta, bo przecież płyty chodnikowe nie są wcale ważne. Ale te twarze tak, więc mam nadzieję, że ta skóra na kolanach popęka i któreś z tych dzieci, uwolnione, do mnie przemówi. Nie udaje mi się.

*

Wracam do niej jakby była moja, siadam obok, zasapieńczo podziwiam jej ciało, wyobrażam sobie, ale mówię o czym innym, o dniu całym, długo wybierałem historyjki powszednie, żeby wzbudzić jej uśmiech, niektóre wydarzyły się lata temu, ale mówię, że dziś, bo brakuje mi aktualnych, ale wszystko działa, gęba jej się śmieje. Drażni się ze mną, składając obietnice ciałem – przez muśnięcie dłonią po moim ramieniu, przez poczochnanie włosów moich pozamotanych i tak już, przez warg wygięcie, masło w oczach, ale i tak żadnej z obietnic nie dotrzyma, moge się założyć. I wygrywam.

Drażni to, więc jak zasypia, piję i palę. Kładę się wcześniej niż bym chciał, czytam dziś mniej niż uważam za słuszne, zasypiam później niż można by przypuszczać, piję mniej niż mnie na to stać, bierze mnie silniej niż mogę się przyznać. Leżę, tarzam się, dotykam, buczę, chrząkam, jęczę świńsko-pijano. Próbuje myśli skupić, ale zastanawiam się nad tyloma rzeczami jednocześnie teraz, po alkoholu rozszumiającym wątki myśli, namnażającym je do ilości, gdzie ich mnogość łatwo pomylić z pustką. Gorycz na języku i rozmakanie oczu sprawiają, że wiszę w powietrzu, a jednocześnie dławię się ziemią. W poszumie milisekundowych zastanowień jestem wielkim wojownikiem, jestem kochankiem najpierw jej, potem tej drugiej, następnie pani od polskiego z czasów licealnych, potem pani od chemii, potem jeszcze ośmiu innych, następnie przypominam sobie jak mnie napadnięto i wyobrażam sobie, co mogłem zrobić tym kolesiom, jak ich mogłem rozkawałkować, obezwładnić, upokorzyć i nawet nie zauważam, że kłamię sobie i to bardzo i nie zastanawiam się w ogóle nad: „no to dlaczego tego wtedy nie zrobiłem?”. Ale w końcu jestem pijany i jestem prawdziwy facet, kiedy tak leżę, zasypiam niemal, walę konia, zabijam i gwałcę.

*

I właśnie siedzę w samolocie, próbuję jakoś wytrzymać zmianę ciśnienia, żeby głowy mi nie rozsadziło, wokół mnie leci mnóstwo małych dzieci i dlaczego im czaszek nie rozsadza? Gdy się wznosimy trzy małe czaszeczki wybuchają w fontannie krwi i nawet fragment kości większy od pięciozłotówki nie zostaje, a mózg to taka papka, która odrywa się od twarzy mam i tatusiów i spada im na głowy z sufitu samolotu i konsystencją przypomina dżem, ciągnie się jak kisiel, ciała drobne ptasie, piskące nieruchomieją i w końcu jest cicho nikt za cycką nie płacze i nie żmędzi, nie wdapuje się na krzesła, nie ciągnie mnie za włosy, nie próbuje za okulary łapać, nie gaworzy, a mamy się już idiotkowo nie śmieją i nikt nie udaje, że dzieciak go wcale nie irytuje i tatuś już nie musi przymierzać się do klapsa, który byłby źle widziany i z którego musiałby i tak ostatecznie zrezygnować, chociaż jego chyba ten dzieciak irytuje najbardziej. Z ust mam wydiera się „Och” i „No, cóż” i wkładają dzieci do worków na śmieci, które podają stewardesy i jak to dobrze, że mają jakąś bluzeczkę i jakieś kiecuszki w bagażu podręcznym i ustawiają się w kolejce do łazienki, gdzie się przebierają w czyste łachy, brudy trafiają do tych samych worków – zostaną wydane przy wyjściu z samolotu. Fotele nieco wilgotne od szybkiego szorowania schną w ciepłe wtulonych w nie wielkich dup osieroconych rodziców.

Wkładam słuchawki, słucham czegoś, nie wiem, boli mnie głowa od wznoszenia się. Jakiś facet siedzący przede mną, zapewne razem z żoną, robi zdjęcia przez to małe samolotowe okienko i chce mi się rzygać od wiejskości jego zachowania, aż nagle uderza mnie myśl jak bardzo spracowane dłonie ma, jak jego paznokcie twarde i białe jak mleko z popiołem wrastają głęboko w jego palce, nie do przycięcia, plecy ma szerokie, jestem pewien, że cały jest zbity, zwężlony twardy, napięty boleśnie, siedzi w swetrze, brodzie, okularach obok podstarzałej małżonki, też w swetrze, ale bez brody i szkieł i czuję tę ich miłość trwającą od tak dawna, a wciąż świeżą, widzę ją w gestach ich dłoni i w skradzionych przez szparę między fotelami spojrzeniach, dwa bezforemne ciała grube, zmarszczone, twarze obrzęknięte latami pod słońcem, w śniegu, wietrze, pracy i od okazynego alkoholu. I to są czyiś rodzice, jak ja wracają po Bożym Narodzeniu z najbliższymi, widzę ich uśmiechy i spokój i wiem, że wszystko było bajeczne, dzieci, wnuki zdrowe, pieniądze nie są już takim problemem, najedli się, zwiedzali, pewnie lecą po raz drugi w życiu, jak ja. I moi rodzice są tacy sami. I nagle płaczę, naprawdę szczerze, gorzko płaczę. Bo w te święta śmiałem się z nich i nie mówiłem do nich zbyt wiele i siedziałem przed kompem, rozmawiając z nią, która wytrącała mnie z równowagi, psuła dni i słowami, i ich brakiem. Siedziałem przed telewizorem, bo nie miałem żadnego pół roku i jakoś nie pomyślałem, że rodziców nie widziałem tyle samo. Rozproszyłem się na wszystkim obok i dalej, zamiast na tuż przy i teraz ci obcy ludzie, akurat gdy wracam, kiedy już za późno rozbłyskują mi w myślach neonem obwieszczającym: ZAWIODŁEŚ!, wytykają mnie palcami, wielkimi szerokimi twardymi z paznokciem mlecznopopielnym wrośniętym głęboko. I łykam łzy, patrzy na mnie jakiś Norweg, nieudolnie chowam twarz w dłoniach i za nową „Machiną”.

*

Bez ciebie to już jest nie to, co było, gdy byłaś – choćby słowem pisanym na skrawku ekranu. Bez ciebie nie dzieje się już nic skocznego. Nie ma jakiejsi siły twórczej w moim podbrzuszu. Tam już nic nie śpi, ani nie jest obudzone – to nie żyje po prostu. Zdechło. Psuje się we mnie to, trując wyżej i wyżej. I już nie oddycham normalnie. Wędzę to zdechłe życie, ssąc dymiący sutek, pijąc ten dym. To dobrze, bo ja teraz znów jestem jak dziecko.

*

I znowu kończy się czas zapomnienia, czas braku czasu na introspekcje, więc siedzę i popijam, zastanawiając się nad rzeczami i rozmiękają mi się oczy tak, że niemal nic nie widzę. Zaczyna mnie nie być dla nikogo, nikt mnie przecież nie widzi i ja nigdzie nie wychodzę, ewentualne propozycje wieczorne odrzucam, chociaż tęsknię do ludzi, to ich nienawidzę i nie mam siły rozmawiać z nimi. Nie za bardzo wiem, czego chcę. Może po prostu narzekać, użalać się nad sobą. Jakoś to mi wystarczy i jednocześnie tłumaczy dlaczego nic nie robię z moją smutnością i samotkiem. Palę nie wiem już którego. Nie mogę znieść tego smrodu, tego oddechu spalinowego, od którego mam zęby jak z zamszu, pływam w dymie, nie dostrzegam siebie w trzech lustrach w łazience, gdzie jaram, siedząc na brzegu wanny, rzucam petami do otwartego kibla, krztuszę się, rzygam niemal, piszę smsa – to chyba jedyna forma rozmowy, która nie wykańcza mnie nerwowo i nie budzi we mnie ochoty zarżnięcia interlokutora. Jak to dobrze nie widzieć swoich twarzy, słyszeć swoich głosów, kiedy się rozmawia, zostają same słowa, taka esencja i zawsze można przerwać, po prostu przerwać, więc piszę póki mi się chce, a potem palę jeszcze jednego i już kręci mi się w głowie, wracam do pokoju krokiem zawrotno-wstecznym i ląduję ciężko w pościeli zmierzwionej. Nie robię nic, czego nie rozumiem, bo zawsze staram się coś robić, w rekach nie mogę utrzymać książki, gdyby ktoś mnie posadził upadłbym znowu na łóżko, więc staram się myśleć o czymś, ale dym przesłania wszystkie drogi do myślenia, toczę się więc bardzo powoli, ale byleby tylko robić coś, choćby nową teorię psychospołeczną, równanie jakieś, sposób na otworenie bram do równoległych światów, czy coś jeszcze innego (dowiedziałem się właśnie, że dzięki newtonowskiemu podejściu do stosunku czasu i przestrzeni(czas ma charakter absolutny „i spokojnie tyka sobie gdzieś w tle”) dla dużych energii udało się skutecznie obliczyć wartość kwantu grawitacji – grawitonu, oraz zaproponować nową teorię początku Wszechświata – zamiast Wielkiego Wybuchu nastąpiło odbicie, następnie ekspansja; teoria ta przeczy ogólnej teorii względności Einsteina. Masakra.), albo chociaż dowiedzieć się, co to takiego jest to, czego ja chcę i:

chcę kogoś

ale chcę też wolności, czasu, świętego spokoju, poważnego rozmówcy, którego mógłbym wyłączać i włączać, kiedy mi się spodoba,

chcę namiętnego uczucia i pasji, łóżkowego całopalenia, orgazmów na bezdechu, czerwonych twarzy, lekkiej perwersji, zaufania do moich odchyłeń, poddania mojej woli,

ale nie chcę kurwy,

nie chcę słuchać wyrzutów, nie chcę, by robiła mi sceny, chcę, by miała dystans, nigdy nie zrobiła czegoś, co by mnie zasmuciło, żeby przyjmowała żarty na klatę, żeby nigdy się nie fochała,

chciałbym być kawalerem z dupą na mieście, która nigdy by się nie przypierdalala, gdybym odzywał się tylko raz na miesiąc i tylko po to by skuć ją analnie,

chcę dziecka,

jestem popierdolony

*

Jadę gdzieś znowu, tramwaj mi mówi, że dziś jest 10 marca – dzień nerek. Dbać o nie mam ponoć, Ogólnopolskie Stowarzyszenie Osób Dializowanych zachęca do odwiedzenia ich strony. Autobus tłumaczy mi, co to nadciśnienie i jak go unikać, a ja i tak dobrze wiem i znam jeszcze kilka innych gorszych chorób, to są zalety studiowania na akademii medycznej, i byłem już w wielu szpitalach i słyszałem, widziałem sporo, więc trochę się boję. Z każdym dniem coraz więcej części ciała mnie boli, nie wiem dlaczego, czy wyobrażam sobie, czy boli naprawdę. Po każdym apapie dostaję biegunki ze strachu, że wątroba mi obumiera i naprawdę zaczyna mnie wtedy coś kłuć pod prawym łukiem żebrowym. A jak się denerwuję, to palę. I boję się, że palę i boję się słuchać lekarzy, którzy nam wykładają i już nie wiem, co robić, by nie rozchorować się, za dwadzieścia lat kaleką nie być. Już teraz

siwieję z tego powodu, myślę o tym, bo nie mam nic lepszego do myślenia – ona po miesiącu milczenia wyprowadziła się nagle nikomu nic nie mówiąc, nie żegnając się, więc „wnet zrozumiałem, że ja tylko tracę czas” i znikła, nie zaprzęta mnie już. Teraz jest inna ona, ale to jest tak odległe, że nie muszę się zbytnio marwić, więc boję się o serce, o nerki i wątrobę, o krew w kale i awitaminozę, przewlekłe zmęczenie, ze snem problemy. I robię coś dziwnego, na co nie wpadłbym nigdy, choć wpadłem. Modlę się. Biorę kartkę papieru i pisze nową litanię, czego chyba już nikt od lat nie robił.

Udarze krwotoczny, zmiłuj się nad nami
Udarze niedokrwienny, zmiłuj się nad nami
Marskości wątroby, zmiłuj się nad nami
Raku jelita grubego, zmiłuj się nad nami,
Zawale serca, zmiłuj się nad nami,
Chorobo Parkinsona, zmiłuj się nad nami,
Stwardnienie rozsiane, zmiłuj się nad nami
(w razie potrzeby dopisz jakąkolwiek chorobę, którą podejrzewasz, że może ci zagrażać)

Siadam, siedzę, zastanawiam się co mnie jeszcze boli, ale nie boli mnie nic, co jest podejrzane, czuję narastające ciśnienie w czaszce, już coś się dzieje, już jest lepiej. Czy oddycha mi się ciężko? Tak, czyli coś się dzieje. Denerwuję się tymi objawami tak, jak przed chwilą ich brakiem. Wchodzę do kibla – palarni i palę. Pokaszuję, oddycham głęboko, kręci mi się w głowie, albo tylko wydaje mi się, że mi się kręci, niczego nie jestem pewien. Budzi się jakiś wkurw we mnie, tłumię go, lekko trzęsą mi się ręce. Przypominam sobie jak miesiąc temu zauważyłem przypadkiem w lustrze, że jedną źrenicę miałem szerszą od drugiej. Próbuję sobie coś przypomnieć z jakiegokolwiek książki, którą kiedyś czytałem, ale nie za bardzo wiem, co dokładnie chciałbym sobie przypomnieć i boję się, że mam zaniki pamięci. Siadam na brzegu wanny coraz wścieklejszy, postanawiam pomyśleć o niej. Rozważam wiele wątków i wątpliwości, dochodzę do wniosku, że wszystko rozegrałem oskarowo, że nie wyszło nam tylko przez nią. Ta konkluzja to za mało, więc myślę, co jeszcze. Gaszę papierosa, patrzę jak pet znika w muszli. Przynajmniej rzuciłem palenie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

kajkosh, dodano 20.04.2010 08:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.